



## RANDALL COLLINS O KULISACH SWOJEJ PRACY, EMOCJACH ORAZ KONFLIKTACH W ŻYCIU SPOŁECZNYM

Randall Collins jest emerytowanym profesorem University of Pennsylvania, byłym Prezydentem Amerykańskiego Towarzystwa Socjologicznego (2011), współzałożycielem czasopism *Sociological Theory* oraz *Theory and Society*, laureatem dziesiątek nagród za pracę naukową. Prowadzi szeroko zakrojone badania empiryczne koncentrując się zarówno na mikroaspektach interakcji, jak i globalnych procesach społecznych. Napisał kilkaset artykułów i kilkanaście książek, przetłumaczonych na wiele języków, z których należy wymienić przede wszystkim *Conflict Sociology: Toward an Explanatory Science*, prezentującą uogólnioną teorię konfliktu, *The Credential Society* (1979), w której wyłożył swoją teorię inflacji dyplomów, *The Sociology of Philosophies: A Global Theory of Intellectual Change* (1998), ponadtysiącstronicową publikację poświęconą naukowym sieciom społecznym, przetłumaczoną na język polski *Interaction Ritual Chains* (2004, wyd. polskie 2011), systematyczny wykład teorii łańcuchów rytuałów interakcyjnych, a także *Violence: A Micro-Sociological Theory* (2008), stanowiącą studium przemocy. W najnowszych książkach *Napoleon Never Slept: How Great Leaders Leverage Emotional Energy* (2015) oraz *Charisma: Micro-sociology of Power and Influence* (2020) eksploruje temat emocjonalnych aspektów przywództwa. Wywiad został przeprowadzony w San Diego przy okazji pobytu na stypendium z ramienia Programu Fulbrighta na University of California, Riverside.

**Łukasz Remisiewicz:** *Panie Profesorze, jest Pan socjologiem o niezwykle szerokich zainteresowaniach, analizuje Pan rzeczywistość społeczną na poziomach makrostrukturalnym, historycznym, jak i mikrointerakcyjnym. W swojej pracy korzysta Pan z wielu źródeł i pisze wiele artykułów, książek, ma Pan również dwa blogi. Jest więc Pan naprawdę kreatywnym twórcą, a dodatkowo kreatywność jest jednym z pańskich głównych zainteresowań naukowych. Korzystając z okazji, na początku naszego wywiadu chciałbym więc zapytać o „kulisy” Pana pracy. Jak organizuje Pan swój czas? Czy posiada Pan jakieś rytuały wyznaczające rytm Pana pracy?*

**Randall Collins:** Większość moich pomysłów pojawia się, gdy zapisuję komentarze w książkach. Czytając, zawsze trzymam w ręku długopis i zaznaczam fragmenty, które uważam za istotne. Gdy byłem młody, tworzyłem nawet podsumowania treści książek, notując na pierwszych stronach lub w spisie treści swoje uwagi dotyczące tego, z czym się nie zgadzam, albo co uważam za istotne. Kolejnym etapem jest zebranie tych uwag na innej kartce papieru, co często stanowi początek nowego projektu badawczego lub książki. Pojawia się tutaj dosłowna intertekstualność, odniesienie tekstu do innego tekstu w ramach sieci. Oczywiście powtarzanie pomysłów innych nie wprowadza niczego nowego, kreatywność wymaga rozwinięcia idei lub zakwestionowania jej. Znaczna większość działań kreatywnych to rekombinacje, łączenie elementów z różnych źródeł. Gdyby ktoś napisał dzieło w 100% nowe, niezwiązane w żaden sposób z innymi, nie znalazłby czytelników, ponieważ nikt by go nie zrozumiał. Trzeba zachować odpowiednie proporcje zawierając, powiedzmy, 90% elementów znanych i w 10% nowych. Nie wiem, jaki maksymalny procent [nowości] może ująć na sucho. Być może w przypadku Jamesa Joyce'a możemy mówić o 60% nowości, ale przynajmniej niektórzy rozumieli to, co robił. W środowisku socjologicznym natomiast niezbyt dobrze rozumiany jest Harrison White, a powodem jest właśnie to, iż jego idee i koncepcje są zbyt nowatorskie.

*Czy ma Pan codzienne nawyki, które narzucają pewną dyscyplinę, w rodzaju konieczności napisania określonej ilości słów lub czegoś w tym rodzaju?*

Nie nazwałbym tego dyscypliną, lubię pisać, lubię myśleć. To przyjemność. Pisanie jest jak posiadanie dzieci. Na początku jest to bardzo przyjemne, później pojawiają się zmagania, wreszcie, kiedy książka zostaje opublikowana, żyje własnym życiem, nie można kontrolować tego, co się z nią dzieje. Najbardziej ekscytująca część znajduje się na początku, bo ciągłe pisanie i przepisywanie może być z czasem uciążliwe. Poczucie przyjemności pojawia się natomiast wtedy, gdy mamy poczucie, że dowiadujemy się czegoś nowego.

Pod koniec lat siedemdziesiątych [ubiegłego wieku] z powodów ideologicznych rzuciłem pracę na uczelni. Właśnie napisałem *The Credential Society* i zdecydowałem, że niedobrze byłoby kontynuować pracę w systemie edukacyjnym, który się krytykuje. Postanowiłem zarabiać na życie jako profesjonalny pisarz i czułem, że muszę pisać szybciej. Odkryłem więc kilka technik, które pozwalają mi nie blokować się twórczo. Blokada pojawia się w momencie, gdy nie wiem, co napisać dalej, a dzieje się tak, gdy nie znam następnego kroku swojej argumentacji. Wtedy cofam się i robię zarys tego, co napisałem do tej pory, a następnie próbuję kontynuować szkic. Ten problem zwykle pojawia się, gdy trzeba omówić kilka punktów i nie wiadomo, jaka powinna być kolejność. Jeśli nie jest oczywiste, który z nich jest pierwszy, bo wszystkie są równie ważne, trzeba

po prostu wybrać jeden z nich. Ale czytelnik musi wiedzieć, skąd taka decyzja, należy więc wyjaśnić, że oto mamy skomplikowany argument, który ma trzy punkty, a my zajmiemy się nimi w następującej kolejności. Zabierasz tym samym czytelnika za kulisy tego, co robisz jako autor.

Inna rzecz, którą odkryłem, przynależy bardziej do sfery mikro. Czasami nie wiem, którego słowa użyć. Zamiast tracić czas na myślenie o tym, po prostu zapisuję oba. Kiedy wracam do tekstu później, zwykle staje się jasne, które słowo jest najlepsze. To powoduje, że nie przerywam rytmu podczas pisania. Zauważyłem, że im szybciej piszę, tym lepiej płynie pisanie – pod warunkiem, że mam już uporządkowaną sekwencję argumentów. Oczywiście, pisząc szybko, używa się czasami zbyt wielu słów, ale przecież łatwo je później skreślić.

Najtrudniej przerabia się tekst, którego ogólna organizacja jest zła. W takim przypadku trzeba ponownie przeczytać cały tekst, następnie zreorganizować jego ramy, ponownie ułożyć fragmenty tekstu i /lub odjąć to, co jest konieczne. Ponowne przeczytanie i poprawienie tekstu ma istotne znaczenie. Wiele osób tego nie robi, szczególnie zauważalne jest to w Internecie.

Kolejnym problemem są powtarzające się fragmenty. W pierwszej wersji tekstu jest to w porządku, ponieważ najważniejsze, aby słowa płynęły. Ale czytając go ponownie, zwłaszcza jeśli jest długi, często stwierdzam, że w kilku miejscach napisałem to samo. Czasami oczywiście trzeba napisać coś podobnego tylko w innym kontekście, ale poza tymi przypadkami irytuje nas, gdy ktoś się powtarza, więc trzeba dla danej myśli znaleźć najlepsze miejsce. Mam też listę banalnych słów, frazesów, których nie lubię czytać, kiedy inni ich używają, więc też ich nie używam. Przy ponownym pisaniu zastanawiam się zwykle, ile słów mogę wyrzucić. Poprawianie tego, co napisałem, sprawia mi przyjemność, ponieważ czuję, jak tekst nabiera rytmu.

*Czy podczas pisania wspiera się Pan nowymi technologiami pisarskimi, takimi jak menedżery cytowań, specjalne programy usprawniające pisanie, takie jak Scrivener?*

Muszę raczej mieć swój tekst na kartkach papieru. Problem z ekranem polega na tym, że zasadniczo przewija on ciągły tekst. Kiedy robię coś skomplikowanego, chcę mieć możliwość przeglądania różnych stron w tym samym czasie. Spędzam więc dużo czasu z kolorowym długopisem, zaznaczając, co gdzie należy umieścić, które fragmenty gdzie należy przenieść. Istnieją urządzenia, które umożliwiają robienie tego na ekranie, ale szczerze mówiąc, łatwiej jest to zrobić ręcznie.

*Korzysta Pan z wielu materiałów i źródeł. W swoich badaniach mikrointerakcyjnych analizuje Pan wiele materiałów wizualnych. Czy mógłby Pan opowiedzieć nieco o pracy z takimi materiałami?*

Zacząłem wykorzystywać materiały wizualne w latach osiemdziesiątych, prowadząc zajęcia na uniwersytecie na temat przemocy. W tamtym czasie trudno było znaleźć dobre dane na ten temat. Dostępne były statystyki dotyczące liczby przestępstw zgłoszonych przez policję, ale one nie mówią niczego o samych sytuacjach. Zacząłem więc wycinać fragmenty gazet za każdym razem, gdy pojawiały się zdjęcia przedstawiające jakikolwiek rodzaj przemocy. Nieważne, czy była to mała bójka, czy zamieszki z policją. Później, w latach dziewięćdziesiątych, znalazłem więcej zdjęć przemocy wojskowej, zwłaszcza z Izraela i Palestyny, ponieważ tam zawsze trwały walki. W tym samym czasie opracowano lepsze teleobiektywy, które miały znacznie większy zoom, i dzięki temu mogliśmy z dużej odległości zobaczyć sytuacje, do których fotograf nie byłby w stanie się zbliżyć. Odkryłem, że zbieranie takiego materiału jest opłacalne, ponieważ za jego pomocą można dokonać nowych odkryć. Poznałem także Paula Ekmana, psychologa, który opracował metodę analizy emocji na podstawie wyrazu twarzy i pozycji ciała. Zdałem sobie sprawę, że to cenne narzędzie do analizy tego, jakie emocje wyrażają ludzie w sytuacjach przemocy, ale także dla innych projektów badawczych, takich jak różnice emocjonalne między klasami społecznymi lub emocjonalna autoprezentacja przywódców politycznych.

Na początku było to łatwe. Wyciąłem zdjęcia z gazet, skopiowałem je i wykorzystałem w swoich badaniach. W czasie pisania mojej książki z 2004 roku, *Łańcuchy rytuałów interakcyjnych*, napotkałem nowy problem. Wcześniej nikt nie obchodziło, czy wykorzystuję te zdjęcia, ale w 2000 roku świat komercyjny zaczął chronić prawa autorskie zdjęć. Getty Images usiłowało stworzyć kapitalistyczny monopol na zdjęcia. Początkowo jako opłatę za umieszczenie jednego obrazu w książce pobierali około 200 dolarów. W moich wcześniejszych książkach udało mi się uzyskać pozwolenia po umiarkowanych cenach. Ponieważ inni twórcy również zaczęli używać tych obrazów, ceny znacznie wzrosły. Niektórzy socjologowie szukali innych rozwiązań. Jack Katz, kolejny bardzo dobry mikrosocjolog, także wykorzystuje zdjęcia do badań, ale w swoich książkach wykorzystuje rysunek wykonany na podstawie zdjęcia, więc nie ma problemu z prawami autorskimi. Może to właśnie będziemy musieli zrobić.

*Bardzo dziękuję za podzielenie się przemyśleniami na temat swojej pracy. Chciałbym teraz przejść do nieco bardziej socjologicznej części naszego wywiadu. W historii myśli socjologicznej zapisał się Pan między innymi jako teoretyk inflacji dyplomów. W związku z tym chciałbym zapytać, jak zmieniła się sytuacja rynku kredencjałów od momentu, w którym opublikował Pan The Credential Society, aż do dziś?*

Przez długi czas uważałem, że to jedna z moich najmniej udanych książek. Po części dlatego, że ludzie nie chcieli słyszeć mojego przesłania. Mój wydawca

nawet odmówił wydania tej pozycji w miękkiej oprawie, to było wiele lat temu (1979). Kryzys finansowy w 2008 roku nastąpił, gdy liczba osób uczęszczających na uniwersytety stała się większa niż kiedykolwiek wcześniej, a koszty studiowania na uniwersytetach były bardzo wysokie i stale rosną. Alarmowano, że Amerykanie są ogromnie zadłużeni za sprawą pożyczek studenckich, co stanowi duży ułamek PKB. Stało się to kwestią polityczną. Pojedyncze osoby zaczęły również kwestionować przydatność wykształcenia. Nie kierowali się żadną teorią, po prostu uznawali, szczególnie w tamtych latach 2010, 2012, że trudno jest znaleźć pracę, nawet jeśli ma się dyplom uniwersytecki, że przedłużanie lat nauki w szkole niekoniecznie jest warte zainwestowanych w to pieniędzy. Opinia publiczna zbliżyła się do uznania mechanizmu inflacji kredencjałów, na który zwróciłem uwagę w 1979 roku. Ale wciąż jest wielu polityków, i oczywiście zawodowych pedagogów, którzy powtarzają stare hasło, że rozwiązaniem wszystkich problemów jest stałe podnoszenie poziomu wykształcenia.

Innym nowym zjawiskiem jest komputeryzacja i zanik pracy klasy średniej. Marks pisał, że maszyny fabryczne wyeliminują pracowników do tego stopnia, że kapitalizm nie będzie w stanie znaleźć klientów na wszystkie wytwarzane przez siebie towary, a to przyniesie kryzys gospodarczy i ostatecznie jego upadek. Tak się nie stało, ponieważ powstały nowe miejsca pracy w sektorze biurokratycznym. Marks nie przewidział wzrostu klasy średniej, która dostarczyła kapitalizmowi nowych klientów. Sytuacja zmieniła się jednak około 1990 roku, kiedy komputery zaczęły przejmować pracę wykonywaną przez biurokratów i pracowników usług. To wypieranie pracy klasy średniej jest obecnie coraz silniejsze. Na przykład kasjerzy w sklepach są zastępowani automatami. Jasne więc jest, że jesteśmy teraz na ścieżce, o której mówił Marks, jako że komputery rzeczywiście zastępują klasę średnią. Kiedyś w przyszłości, prawdopodobnie w ciągu następnych 20 lat, dojdziemy do punktu, w którym nie będzie wystarczającej liczby nabywców na rzeczy produkowane przez kapitalistów. Myślę więc, że nastąpi rewolucyjny kryzys marksistowski.

Ta perspektywa wiąże się w dziwny sposób z kredencjałami edukacyjnymi. Niedawno ukazało się nowe wydanie *The Credential Society*, opublikowane przez Columbia University Press (2019). W nowej przedmowie do książki zwracam uwagę, że inflacja kredencjałów może być drogą, którą przybędzie socjalizm, tylko pod inną nazwą. Według tej hipotezy rząd zapłaciłby za przetrzymywanie ludzi w szkołach przez bardzo długi okres, być może do wieku 40 lub 50 lat, bez względu na to, jak długo trzeba by ich wspierać. Inflacja edukacyjna byłaby mechanizmem pozwalającym na stworzenie systemu świadczeń socjalnych, który mógłby uratować kapitalizm przed upadkiem, ponieważ dzięki niej nadal istnieliby ludzie, masy studentów, posiadający pieniądze na zakup produktów kapitalistycznych. Niedawno zaczęto mówić o gwarantowanym dochodzie dla wszystkich, co było niespotykane jeszcze 5 lat temu. Nawet ekonomiści

głównego nurtu, zwykle konserwatywni, zdają sobie sprawę, że kapitalizm będzie miał problem z brakiem wystarczającej liczby konsumentów, którzy mogą wydawać pieniądze. Niekończące wydłużanie ścieżek edukacyjnych mogłoby okazać się sposobem rozwiązania tego problemu – byłaby to forma socjalizmu, ale pod inną nazwą.

*Kontynuując wątek szkolnictwa, chciałbym zapytać Pana o spojrzenie z punktu widzenia teorii łańcuchów rytuałów interakcyjnych [LRI] na współczesne zmiany w podejściu do edukacji. Jest wielu naukowców, którzy mówią, że szkoły zabijają kreatywność, że dzieci powinny mieć wolność, że szkoły sztywno organizują swój czas i tak dalej. Czy teoria LRI odpowiada w jakiś sposób na te kwestie?*

Właściwy styl nauczania zależy od tego, o jakiej karierze mówimy. Jeśli cofniemy się o sto lat, edukacja była bardzo autorytarna, nauczyciele posiadali wielką władzę, bili dzieci kijami, aby nauczyły się materiału. Weźmy przykład elitarnych brytyjskich szkół – tam chłopców ciągle bito. Można by pomyśleć, że nie nauczyli się zbyt wiele, ale przecież z tych szkół wyszło całkiem sporo naukowców i znanych pisarzy. Wszyscy uczyli się w ten sposób, więc w pewnym sensie nie miało to znaczenia. Najważniejszą rzeczą, aby zostać sławnym naukowcem, jest mieć nauczycieli, którzy są jednocześnie sławnymi naukowcami. Od nich uczyć się można najnowszych technik, najnowszych teorii, najnowszych problemów, które stanowią granicę dla nowej kreatywności. To jest sieciowy wzorzec kreatywności, charakterystyczny dla całej światowej historii filozofii, matematyki i innych dziedzin. Schemat sieci praktyk od mistrza do czeladnika występuje również wśród wielkich malarzy i kompozytorów muzycznych. Fakt, że większość ich mistrzów była autorytarna, nie robił różnicy, jeśli przekazywali rzemiosło następnemu pokoleniu, które mogło je dalej rozwijać.

Mówię tutaj o kilku procentach, o elicie intelektualnej w jakimś konkretnym okresie historii. Mniej ważne jest to, w jaki sposób ich uczono, jeśli mieli ambicje i twórczych ludzi z poprzedniego pokolenia, którzy nauczyli ich techniki, zwykle poprzez własny przykład. Tego wzoru sieci między pokoleniami nie zmienił przez ostatnie 70 lat fakt, że edukacja stała się mniej autorytarna. Elita intelektualna poradzi sobie dobrze, ponieważ zawsze tak było, niezależnie od formy edukacji. Dotyczy to nie tylko naukowców i uczonych na zachodnich uniwersytetach. Historie słynnych mistrzów Zen w Chinach pokazują wiele z tego samego autorytarnego sposobu przekazywania ich idei następnemu pokoleniu.

Rozważmy dwie inne grupy uczniów. Pierwszą z nich są studenci, którzy chcą wykonywać ważne zawody, ale niekoniecznie intelektualni. Nie muszą oni chodzić do szkoły, aby zdobyć praktyczne umiejętności. Weźmy za przykład polityków: w krajach takich jak Europa Zachodnia i Stany Zjednoczone wszyscy uczęszczają na uniwersytety. Ale 150 lat temu tacy ludzie jak

Abraham Lincoln nigdy nie chodzili do szkoły, uczyli się w domu i poprzez praktykę. Czy nie byli tak dobrzy jak dzisiejsi politycy? Techniczna strona polityki jest taka sama jak dawniej, nie ewoluowała w czasie. Do niedawna, gdy Henry Ford budował swoją firmę lub Thomas Edison tworzył swoje wynalazki, dyrektorzy biznesowi nie chodzili do szkół biznesu, ponieważ ich nie było. Teraz istnieją, ale czy pomagają w czymkolwiek? Cóż, być może ułatwiają pewne rzeczy. Osobiście uważam, że uczniowie, których spotykam w szkołach biznesu, są poważniejsi niż przeciętny student sztuk wyzwolonych, ponieważ mają przed sobą cel. Wydaje się, że zadają sobie pytanie: czy uczę się czegoś, co będzie dla mnie przydatne? Są więc bardzo zainteresowani, jeśli dowiadują się, że nauki społeczne mogą być użyteczne. Czy mogliby poradzić sobie bez edukacji? W przeszłości wszyscy to robili. W ostatnich latach ludzie tacy jak Steve Jobs czy Bill Gates, a ostatnio Elon Musk porzucają szkołę. Czemu? Ponieważ widzieli okazję do założenia nowej firmy i zamiast czekać, aż skończą edukację, wyprzedzają konkurencję, robiąc coś, zanim zrobi to ktoś inny. To samo dzieje się w Chinach. Słynny przedsiębiorca Jack Ma nie zdał egzaminów, ale odwiedził Amerykę, gdzie dowiedział się, że Internet może służyć do opłacania rachunków. Nie potrzebował szkoły, żeby go tego nauczyła. Mógł to zobaczyć, a potem po prostu poszedł do przodu i buduje ogromny biznes internetowy w Chinach. Nie jest więc dla mnie jasne, czy edukacja jest konieczna by odnieść sukces w biznesie.

Dla reszty populacji, tych, którzy nie zamierzają być intelektualistami, politykami lub przedsiębiorcami, chodzenie do szkoły jest głównie kwestią zdobycia wykształcenia, które zapewni im pracę. A to, czy nauczą się czegoś po drodze, jest mniej ważne niż liczba lat potrzebnych do „kupienia” pracy przy aktualnej „cenie” w kredencjach. Myślę, że wielu studentów podchodzi do tego cynicznie, czego socjologicznym dowodem jest fakt, że spełniają wolę nauczyciela, aby uzyskać ocenę, ale szybko zapominają, czego się nauczyli krótko po tym, jak przystąpili do egzaminu. Jeśli nauczyciele są przyjaźni i otwarci, uczniowie prawdopodobnie są szczęśliwsi, ale wciąż mogą nie nauczyć się zbyt wiele, chyba że dążą do jednego z elitarnych zajęć intelektualnych.

Jak dotąd skupiłem się na pytaniu, co uczniowie chcą osiągnąć poza edukacją. Ale to może nie być najważniejszy powód istnienia szkół. Dla rodziców szkoły są bardzo ważne, ponieważ muszą wysyłać tam swoje dzieci, gdy idą do pracy. W tym przypadku nie ma znaczenia, co ich dzieci robią w szkole, ważne, że ktoś przejmuje ich obowiązki.

Inną wpływową grupą są nauczyciele. Oni nieustannie analizują to, co robią i szukają lepszych metod. Moje pytanie brzmi: lepszych ze względu na jaki cel? Wygląda na to, że w Stanach Zjednoczonych starają się zmusić dzieci do bardziej demokratycznego działania i być może im się to udaje. Nie jestem jednak pewien, że czynią ich lepszymi intelektualnie lub lepiej przygotowanymi do

pracy (której może nie być, gdy dorosną). Widzę, jak moje wnuki są traktowane w szkole, ale nie wiem, kim będą za 15 lat.

*W Polsce jest Pan znany między innymi z trafnej prognozy upadku komunizmu. W pewnym wywiadzie powiedział Pan, że Pana wypowiedzi na ten temat zostały potraktowane przez sowietologów z dużym sceptycyzmem, bo czuli się zagrożeni utratą przedmiotu swoich badań. Czy mógłby powiedzieć Pan o tym nieco więcej?*

To było na początku lat osiemdziesiątych, kiedy interesowałem się zastosowaniem mojej pracy do procesów politycznych. Opracowałem wtedy teorię geopolityki, aby wyjaśnić warunki, kiedy państwa powiększają się lub zmniejszają, rozszerzają lub tracą terytorium. Potem nadeszły wybory w latach osiemdziesiątych, Ronald Reagan został wybrany na prezydenta, argumentując, że USA są w poważnym niebezpieczeństwie, ponieważ Sowieci posiadają więcej broni jądrowej, mogliby zniszczyć całą naszą broń nuklearną, a następnie uderzyć w nas ponownie, gdybyśmy się nie poddali. Postanowiłem to sprawdzić, stosując moją teorię do historii Rosji i Stanów Zjednoczonych. W mojej teorii geopolitycznej istnieje pięć zasad przyczynowych dotyczących tego, czy dane państwo rośnie, czy maleje. Zauważyłem, że w świetle czterech z pięciu zasad Rosja osiągnęła szczyt ekspansji, jej terytorium było przerośnięte, a imperium rosyjskie dążyło ku upadkowi. Piątą możliwością był udział zwaśnionych stron w destrukcyjnej dla nich obu wojnie ostatecznej, tak jak miało to miejsce w przypadku walki między Cesarstwem Rzymskim a Imperium Perskim, która otworzyła drogę do ekspansji imperium islamskiego z zewnątrz, albo walki między Niemcami a Francją i Anglią, która zniszczyła ich potęgę, aby USA i Rosja mogły dominować. Wojna nuklearna mogła zniszczyć zarówno Rosję, jak i Stany Zjednoczone, a ktoś inny wejść w tę próżnię (wtedy myślałem, że może Unia Europejska lub Chiny).

Jeden z moich pierwszych wykładów na temat tej teorii odbył się na Uniwersytecie Columbia, gdzie zaproszono mnie do rozmowy z pracującymi tam rosyjskimi naukowcami. Byli bardzo sceptyczni. Mówili, że Rosja jest reżimem totalitarnym, jest potężna i nie może upaść. Wtedy zdałem sobie sprawę, że większość z nich to uchodźcy. Pochodzili z Rosji, byli pełni nienawiści i strachu przed Rosją, nie brali pod uwagę jej upadku. Dlatego z ich perspektywy najlepszą rzeczą, jaką mógł robić Zachód, to budować jeszcze większą ilość broni jądrowej. Myślę, że w ich przypadku zbyt silne zaangażowanie emocjonalne nie pozwalało im dostrzec innych możliwości. Zresztą według mnie, teraz ten sam czynnik działa w Izraelu. Bardzo wielu Izraelczyków zachowuje żywą pamięć o Holokauście, nie zdając sobie sprawy z tego, że to samo odczuwają Palestyńczycy, z tym, że teraz to oni są traktowani jak podczas Holokaustu. Dla wielu



Izraelczyków Palestyńczycy wydają się nazistami. Z kolei z punktu widzenia Palestyńczyków jest odwrotnie – typowa polaryzacja. Utknięcie w przeszłości przesłania terażniejszość.

*Czy to właśnie sceptyczne podejście do pańskiej teorii geopolitycznej sprawiło, że przesunął Pan swoje zainteresowania na sferę mikrointerakcji?*

To nie miało w zasadzie nic wspólnego z polityką. Miało to raczej związek zarówno z pozytywnymi, jak i negatywnymi wpływami na moje życie intelektualne. Pozytywne było to, że ponieważ prowadziłem coraz więcej mikrointerakcyjnych badań, czułem, że robię postępy formalizując teorię religii Durkheima w model, wykorzystując mikroanalizę nagrań wizualnych i ścisłą obserwację. Ale Durkheim nie wystarczy, ponieważ nie wskazuje, kiedy rytuał się udaje, a kiedy nie. Skupia się tylko na rytuałach, które skutecznie tworzą społeczną solidarność. Doszedłem do wniosku, że kluczowe jest to, czy ludzie wchodzą we wspólny rytm, czy nie. Jeśli tak, rozwijają silne więzi, a także energię i przywiązanie do symboli swojej grupy. Ale jeśli nie, rezultatem jest alienacja, a proces ma odwrotny skutek. Antropolodzy i socjologowie wiedzieli o analizie rytualnej Durkheima, ale większość krytykowała ją jako teorię funkcjonalistyczną zawierającą błędne założenie, że rytuał zawsze działa, ponieważ społeczeństwo go potrzebuje. Ważne jest jednak, by zdać sobie sprawę, że rytuały nie zawsze działają, a kiedy tak się dzieje, powstają wielkie punkty zwrotne historii, takie jak reformacja i rewolucja francuska, w których stare rytuały i ich struktury społeczne są odrzucane, a tworzone są nowe.

Od lat osiemdziesiątych XX wieku analizowaniem emocji zainteresowali się także inni badacze. A emocje z konieczności prowadzą do poziomu mikro. Inną zbieżnością było stosowanie w większym zakresie mikrometod, takich jak nagrywanie rozmów, analiza zdjęć i filmów przedstawiających ludzi w sytuacjach życia codziennego. Pomogło to stworzyć nową teorię dotyczącą przemocy. Wszystko to jest pozytywne.

Z drugiej strony coraz mniej pociągało mnie konstruowanie makrosocjologii. Kiedyś uważałem się za zwolennika Maksa Webera. Wiem dużo o Weberze i wykorzystywałem jego pomysły, moja teoria geopolityczna jest próbą zastosowania Webera, lecz nie odniosłem dużego sukcesu. Jest wielu zwolenników Webera i wszyscy się ze sobą spierają. A niektórzy z nich są nastawieni bardzo tradycjonalistycznie. Według nich Weber nie napisał tego, co napisałem ja, więc mojej teorii geopolitycznej nie można uznać za Weberowską. Dla nich jego koncepcja legitymizacji jest tylko jedną z ustalonych kategorii. Sednem mojej teorii geopolitycznej jest natomiast to, że legitymizacja przychodzi i odchodzi, a na silną legitymizację państwa wpływa jego sukces geopolityczny, a przyczyną utraty legitymizacji jest porażka geopolityczna. Traktowanie legitymizacji jako

dynamicznej jakości, nie zaś statycznej kategorii, daje nam teorię rewolucji, według której spadek potęgi geopolitycznej zmniejsza legitymację państwa, a to zapowiada rewolucję. Pomyślałem, że zwiększam wartość teorii Webera, rozszerzając jej zastosowanie, ale większość innych Weberystów nie chce wyjść poza Webera. Moim największym błędem było nazwanie książki zawierającej teorię geopolityczną *Weberian Sociological Theory*. Powinienem być wymyślić dla niej nową nazwę – ale szczerze mówiąc, w tamtym czasie próbowałem wyciągnąć z Webera nowe implikacje teoretyczne.

Innym powodem, dla którego porzuciłem makrosocjologię, była intelektualna konkurencja. To był okres 40 lat pracy świetnych socjologów zorientowanych historycznie: Charlesa Tilly’ego, Michaela Manna, Immanuela Wallersteina, Jacka Goldstone’a, wielu bardzo kreatywnych ludzi. Napisałem jedną, bardzo długą książkę historyczną, która moim zdaniem nie ma prawdziwej konkurencji, ale nie traktuje o geopolityce. Chodzi mi o *Socjologię filozofowania*, która dotyczy twórczych sieci filozofów w historii świata, ale to bardziej wyspecjalizowany temat. Interesuje się tym mniej osób, ludzie wolą mikroscjologię.

Moja mikroscjologiczna teoria mówi, że ludzie odchodzą z interakcji, które przynoszą niewiele energii emocjonalnej, w kierunku tych interakcji, które zwiększają ich energię emocjonalną. To właśnie zrobiłem, przechodząc od makrosocjologii do mikroscjologii.

*To dobry moment, aby zapytać, czy zauważa Pan jakieś błędne przekonania na temat swojej socjologii? Mam wrażenie, że w Pana teorii LRI istnieją pewne elementy, które są systematycznie mylone. Pojęcie energii emocjonalnej [EE] jest jednym z nich. Łatwo spotkać socjologów, którzy uważają EE za jakiś krótkotrwały flow, chwilowe poczucie mocy, jak wtedy gdy mówimy, że czujemy się doenergetyzowani. W swoich książkach podkreśla Pan natomiast, że energia emocjonalna jest raczej długotrwałą emocją, która może wpływać na naszą motywację. Czy może Pan sprecyzować kilka kluczowych punktów dotyczących tego, czym jest energia emocjonalna i jak ona działa? Dlaczego jej przepływ jest tak ważny w społeczeństwie?*

Wcześniej [przed nagraniem] rozmawialiśmy o polityce i mówiłem, że staram się zachować dystans, zamiast zawsze być stronnikiem. Dlatego czasami wycinam zdjęcia polityków i oglądam bez dźwięku filmy, na których występują, ponieważ mniej obchodzi mnie to, co mówią, a bardziej sposób, w jaki to robią. Na przykład, jako mikroscjolog rozumiem, dlaczego Trump był w stanie pokonać swoich głównych przeciwników w prawyborach Republikanów, i dlatego mógł wygrać z Hilary Clinton w 2016 roku. Był znacznie bardziej dominujący w kontaktach twarzą w twarz, prawie nigdy nie pozwalał nikomu przejąć

inicjatywy lub kontrolować tematu. Robi rzeczy, które łamią konwencjonalne zasady interakcji społecznej, jest mistrzem mikroagresji. Podczas jednej z debat z Hillary Clinton, kiedy ta przemawiała, Trump opuszczał swoje podium i chodził za nią. Potrafi sprawić również, że druga osoba wygląda biernie. Najsilniejszym republikańskim kandydatem był Jeb Bush, brat byłego prezydenta, ale Trump zniszczył go uwagą, że ma niski poziom energii. Wytknięcie tego wprost było niekulturalne, ale z perspektywy mikrosocjologicznej okazało się prawdą. Innym przykładem jest przeciwnik Trumpa, Ted Cruz, który miał bardzo podobną pozycję jak on, był natywiścią, chciał zamykania granic dla imigrantów. Różnica polegała na tym, że Trump przez wiele lat prowadził program telewizyjny i bardzo dobrze wie, jak prezentować się przed kamerą. Jest w tym całkiem naturalny. Natomiast dla Teda Cruza nie jest to naturalne. Musiał zatrudnić trenera, który powiedział mu, żeby podkreślał swoje uwagi machając rękami i koniecznie robił pauzę między zdaniem, żeby publiczność miała czas zareagować. To sprawiło, że Cruz wyglądał na złego aktora – jego rytm był zbyt wolny. To samo dotyczyło Hilary Clinton. W polityce za kulisami miała opinię twardej i agresywnej w stosunku do innych ludzi. Bill Clinton był miłym facetem, Hilary była twarda. Teraz starała się być miła, próbując zmienić swój wizerunek. Miała trenerów, którzy mówili jej, że musi się uśmiechać, robić to czy tamto. I nie wyglądało to prawdziwie. W polityce trzeba wyglądać prawdziwie. To pierwsza rzecz. Ludzie, którzy wyglądają, jakby udawali, nie radzą sobie dobrze. Dotyczyło to również innego prezydenta, który był podobny do Trumpa. To był Ronald Reagan, który w tamtym czasie był znacznie bardziej konserwatywny niż jakikolwiek prezydent przed nim, ale Reagan był aktorem, który grał role komiczne w stylu „Jestem miłym facetem”. Trump gra inną rolę, obrazoburcy, który mówi, co naprawdę myśli, jego kierownik kampanii powiedział: „Niech Trump będzie Trumpem”.

W kampanii wyborczej w 2020 roku Biden, który zajmował się polityką od dawna i miał opinię miłego, niezbyt dynamicznego faceta, był mniej energiczny niż Trump, ale do tej pory wielu ludzi było zmęczonych stylem zachowania Trumpa lub oburzonych nim. Podczas pierwszej debaty Trump celowo próbował sprawić, że Biden wyglądał na słabego, nieustannie mu przerywając. Biden, co nietypowe, próbował mówić bardziej jak twardziel, a debata stała się bardzo nieprzyjemna, składając się głównie z obelg po obu stronach. Tak naprawdę nie jest to prawdziwa twarz Bidena i być może zniknie, gdy będzie bezpiecznie sprawował urząd prezydenta.

Kontynuuję badania nad interakcjami polityków między sobą, a także z publicznością (nieskładającą się z zawodowych polityków). Być może istnieje formuła odnoszących sukcesy polityków. Niektóre kroki w tym kierunku opisuję w mojej najnowszej książce *Charisma: The Micro-sociology of Power and Influence* [Charyzma: Mikrosocjologia władzy i wpływu] (2020).

*Rozmawialiśmy już o konfliktach twarzą w twarz, ale współcześnie również na poziomie globalnym możemy zauważyć taki spolaryzowany klimat polityczny w USA, w Polsce, w zasadzie w całej Europie. Stworzył Pan teorię dotyczącą eskalacji konfliktu. Czy mógłby Pan opisać swoją teorię w odniesieniu do obecnej polityki?*

Eskalacja zakłada istnienie dwóch stron, z których obie oskarżają się nawzajem o okrucieństwo. Następnie w odpowiedzi oskarżają się coraz mocniej i często dopuszczają się strasznych rzeczy, gdy biorą na sobie odwet. Każda ze stron przyjmuje stanowisko: my jesteśmy cnotliwi, a wy źli, więc wszystko co wam zrobimy, jest usprawiedliwione. To uniwersalny schemat eskalacji. Powstaje ważne pytanie: czy są jakieś granice eskalacji? Czy konflikt może trwać wiecznie? Logicznie rzecz biorąc, nie jest to możliwe. W kategoriach matematycznych, jeśli istnieją dwie wielkości, z których każda mnoży drugą w pętli sprzężenia zwrotnego, doprowadziłoby to do nieskończoności. To nie jest możliwe w prawdziwym świecie. Wszystkie konflikty w przeszłości prędzej czy później dobiegły końca. Dlatego próbowałem połączyć teorię eskalacji z teorią deeskalacji. Jak dotąd nie jestem do końca zadowolony z moich wniosków i badam empirycznie, jaka jest dynamika ruchów protestacyjnych w czasie.

Jednym z przypadków jest Gilets Jaunes, ruch Żółtych Kamizelek we Francji w latach 2018–19. Ich szczytowa mobilizacja przypadała na pierwsze dwa miesiące, a następnie ich liczba spadała, aż do zaniknięcia po około sześciu miesiącach. Spadek nie jest zaskakujący, bardziej zaskakujące jest to, że udało im się utrzymać ten ruch tak długo. Utrzymanie mobilizacji nie było łatwe, ponieważ do ruchu należeli głównie ludzie z prowincji, którzy przyjeżdżali do Paryża, organizując demonstracje protestacyjne, a czasem dopuszczając się przemocy, takiej jak niszczenie mienia na trasie manifestacji. Ale nieczęsto się zdarza, aby bojowa demonstracja lub zamieszki trwały dłużej niż cztery dni. Gilets Jaunes działali znacznie dłużej, ponieważ Francuzi są bardzo wyrafinowani politycznie. Zamiast demonstrować w sposób ciągły, planowali demonstracje na każdą sobotę, więc mieli czas, aby wrócić do domu, wykonywać swoją pracę i zaspokajać swoje potrzeby materialne. Ale nawet przy tej strategii nie jest dla mnie jasne, czy można ją stosować sporadycznie przez bardzo długi czas. Jeśli ruch szybko się rozprzestrzenia, entuzjazm sprawia, że wszyscy są zaangażowani emocjonalnie. Ale kiedy ruch się stabilizuje, a zwłaszcza gdy przyciąga coraz mniej osób, energia emocjonalna spada.

Rozmawialiśmy [przed nagraniem] o ruchu „MeToo” i o tym, jaki potężny był efekt jego oddziaływania, ponieważ każdy, kto nie odciął się od osoby, która została oskarżona o przestępstwo seksualne, również mógł zostać zaatakowany za tuszowanie tego procederu. Ten proces powodował bardzo szeroką eskalację ruchu. Ale kiedy presja emocjonalna, by dołączyć do oskarżycieli, przestaje

rosnąć, ludzie zaczynają tracić emocjonalną intensywność. Skrajnym przypadkiem było „panowanie terroru” podczas rewolucji francuskiej w latach 1793–94, kiedy ludzie, którym nie udało się potępić tych, którzy zostali wysłani na gilotynę, sami byli na tę gilotynę wysyłani. Jednak po 12 miesiącach pozostali członkowie elity politycznej zdali sobie sprawę, że staną się ofiarami, jeśli nie zatrzymają procesu. To są przykłady empiryczne, które moglibyśmy zmierzyć. Oczywiście, gdy jest się w jakimś ruchu, nie myśli się o pomiarze. Jest to nasza szczególna umiejętność jako socjologów. Możemy angażować się w ruchy polityczne, ale możemy mieć też wystarczającą niezależność intelektualną, aby zadać sobie pytanie: jaki jest tutaj wzór, jak długo to trwa, co powoduje zmianę intensywności?

### *A jaka jest rola mediów w polaryzacji?*

Media zawsze były ważne, ponieważ to one określają, jak daleko możesz rozpowszechnić swój przekaz i swój entuzjazm. Charles Tilly pisze, że przed 1760 rokiem nie istniały żadne ruchy społeczne. Mogły pojawić się zamieszki związane ze wzrostem cen chleba, ale nigdy nie trwały one dłużej niż dwa dni i zawsze pozostawały lokalne. Nie było sposobu na szerzenie się ruchu społecznego bez rozwoju komunikacji, autostrad i tak dalej. Większy rozwój mediów może pozwolić na szerszą mobilizację ruchów społecznych. Głównym zajęciem wczesnych bolszewików było drukowanie podziemnych gazet, a ich członkowie rozdawali je by rekrutować członków. Naziści byli pionierami marszu ulicznego z głośnikami, przez które wykrzykiwali swoje hasła. Jeśli chodzi o telewizję, to nie jest dla mnie jasne, czy mobilizuje, czy demobilizuje, bo ludzie są skłonni traktować ją jako rozrywkę.

Niektóre akcje mogły być promowane przez telewizję. Ale ogólnie myślę, że niewiele. Telewizja polega na nadawaniu w jedną stronę z centrum i zwykle wspiera status quo. Ale Internet jest bardziej zdecentralizowany i umożliwia bardziej dwukierunkową komunikację. Myślę, że to wyjaśnia duży wzrost rozmiarów ruchów społecznych w ciągu ostatnich 10 lat.

### *Możemy tu powrócić do ruchu „MeToo”.*

Tak, ruchy typu „MeToo” są tego dobrym przykładem. Te ruchy tak naprawdę nie mają organizacji, ponieważ jej nie potrzebują. Z drugiej strony mogą nie być w stanie zinstytucjonalizować się właśnie z tego powodu. Dopiero zaczynamy rozumieć, jak działają ruchy internetowe. We wczesnych latach istnienia Internetu było wiele entuzjazmu w stylu „och, *Internet movements*, nie da się ich powstrzymać”. Takie głosy pojawiały się szczególnie na początku ruchów arabskiej wiosny, ale większość z nich się nie sprawdziła. W Chinach takie ruchy

są jak najbardziej możliwe do powstrzymania, ponieważ chiński rząd czyta Internet tak samo jak wszyscy inni i natychmiast wysyła policję tam, gdzie ktoś mówi o planowanych demonstracjach. Ruchy oparte na komunikacji są dla nas zbyt oczywiste. Mobilizacja ruchu jest najłatwiejsza w demokracji, ponieważ nikt nie próbuje jej powstrzymać. Coraz więcej autorytarnych rządów interweniuje w Internecie, a nawet wyłącza go, gdy uważają, że jest niebezpieczny. Chińczycy są bardzo skoncentrowani na kontrolowaniu społeczeństwa poprzez wykorzystanie technologii komputerowej. A teraz w USA firmy internetowe cenzurują stanowiska polityczne, z którymi się nie zgadzają, i wydaje się prawdopodobne, że rząd USA spróbuje zrobić to samo.

*Tak, choć teraz ta mobilizacja w krajach nieautorytarnych często przekształca się w napięcia w debacie publicznej. Niektórzy działacze, politycy, a nawet socjologowie twierdzą, że lekarstwem na to jest złagodzenie języka. Czy sądzi Pan, że napięcia mogłyby się zmniejszyć poprzez silniejsze ukierunkowanie na tak zwaną poprawność polityczną?*

Hipotetycznie mogłoby to być prawdą, gdyby każdy monitorował swoje zachowanie. Myślę o ruchu w USA, pierwotnie kojarzonym z wyznawcami Berniego Sandersa, zwanym Antifa, ruchu antyfaszystowskim. Oni bardzo szybko wyłapują ludzi po drugiej stronie i nazywają ich faszystami. Jeśli spojrzeć na doniesienia prasowe o demonstracjach antyfaszystowskich, zwykle przewyższają liczebnie swoich przeciwników. W ostatnich latach w Ku Klux Klanie jest stosunkowo niewielu członków i przez większość czasu nikt nie zwraca na nich uwagi. Wagę ich zagrożenia potęgują przeciwnicy, którzy głośno deklarują, że stanowią wielkie niebezpieczeństwo. To była skuteczna taktyka, ale prowadzi do większej polaryzacji. Tak, myślę, że gdyby więcej ludzi próbowało monitorować własne emocje związane z polityką, pomogłoby to w zaprowadzeniu pokoju społecznego.

*W jednej ze swoich książek [Violence: A Micro-sociological Theory] argumentuje Pan, że ludzie nie są zbyt ugodni, jeśli chodzi o przemoc twarzą w twarz. Brzmi to jak dobra wiadomość dla ludzi, którzy są głęboko zaniepokojeni, że polaryzacja w polityce wpłynie na nasze codzienne zachowania. Czy dostrzega Pan głębokie podziały społeczne związane z przemocą?*

Musimy ostro rozróżniać motywy i uczucia ludzi od tego, co faktycznie robią. Uważamy zazwyczaj, że gniew powoduje przemoc. Ale w 99% przypadków tak nie jest. Ludzie często są na siebie źli, ale zazwyczaj nie prowadzi to do przemocy. Statystyki przemocy ujmują ją jako zmienną zależną. Najsilniejszą barierą, która zapobiega przemocy, jest spojrzenie prosto w twarz. Jeśli ktoś na

ciebie patrzy, trudno jest posunąć się do przemocy. Ludzie, którzy trudnią się przemocą profesjonalnie, tak jak mafijni zabójcy, nigdy nie patrzą swojej ofierze w twarz. Zawsze próbują złapać ofiary od tyłu. Unikają napięcia konfrontacyjnego, dokonując przemocy gwałtownej i nieoczekiwanej. To prawda, że niektórzy członkowie gangu często próbują sprowokować spór, mówiąc na przykład „jesteś na terenie mojego gangu”, „nie szanujesz mnie”. Mogą nawet pochwalić się bronią, którą noszą. Ale obserwacje socjologiczne i filmy wideo z takich incydentów pokazują, że w większości przypadków nic się nie dzieje. Jeśli gangi faktycznie mają zamiar walczyć, jest znacznie bardziej prawdopodobne, że użyją samochodów, z których będą strzelać bez konieczności konfrontacji z ofiarami twarzą w twarz. I często chybiają celu lub trafiają w niewłaściwych ludzi, ponieważ nie jest łatwo strzelać z jadącego samochodu. Moja pierwsza rada dotycząca postępowania z kimkolwiek, kto grozi przemocą, to próba spokojnego patrzenia mu w twarz tak długo, jak to możliwe.

*A co sądzi Pan o roli, jaką socjologowie powinni odgrywać w konfliktach publicznych? Czy jest Pan zwolennikiem dużego zaangażowania w życie społeczne?*

Większość socjologów interesuje się problemami społecznymi, sprawiedliwością społeczną lub ruchami politycznymi. Nie muszę im więc doradzać, oni już to robią. Robiłem to sam w przeszłości. Teraz jestem wystarczająco dojrzały i nie czuję potrzeby przyłączania się osobiście. Zdałem sobie sprawę, że jeśli jest się aktywnym w bardzo angażującym emocjonalnie ruchu, traci się perspektywę. Czasem warto to poświęcić, ale potrzebujemy przynajmniej kilku osób, które starają się spojrzeć z perspektywy analitycznej i wyjaśnić zachodzące procesy. Jeśli chcemy udzielić praktycznej porady, musimy mieć wystarczająco dużo dystansu, aby zobaczyć, jakie są mechanizmy.

Podam przykład. Prawie wszyscy moi przyjaciele są zwolennikami lewicy lub zagorzałymi liberałami, a moja żona jest bardzo aktywna w ruchu feministycznym. Ale nie lubię słuchać naszych przyjaciół rozmawiających o polityce, ponieważ mają tendencję do tego, by wszystko wyolbrzymiać. Zwykle mówią: Republikanie są głupi, Trumpiści są głupi. Wcześniej to Bush i jego zwolennicy byli głupi, Reaganiści byli głupi. Ten styl myślenia nie docenia przeciwników. Nie mogą być aż tacy głupi, jeśli zarabiają pieniądze lub są wybierani na stanowiska rządowe. Niektórzy z nich lepiej radzą sobie z polityką niż Demokraci. Największy ze wszystkich Franklin Roosevelt był mistrzem wizerunku publicznego. Nie sądzę, żeby John F. Kennedy był faktycznie bardzo skutecznym politykiem, ale miał wspaniały wizerunek publiczny. Nie lubiliśmy Lyndona Johnsona i demonstrowaliśmy przeciwko niemu w ruchu na rzecz pokoju, ale był mistrzem polityki legislacyjnej i przeprowadził więcej reform niż jakikolwiek

liberalny prezydent dotąd. Od tego czasu Demokraci nie mają skutecznych polityków. Co dziwne, Demokratą, który odniósł największe sukcesy w ostatnich latach w zdobywaniu oddanych zwolenników, był Bernie Sanders. A przecież to zdumiewające, że ktoś, kto otwarcie deklaruje, że jest socjalistą, może być popularny w Ameryce. Ale większość polityków wygląda, jakby próbowali odgrywać rolę teatralną zaprojektowaną przez ich doradców politycznych. Bernie Sanders miał autentycznie entuzjastyczny ruch zwolenników, ponieważ niczego nie udawał. W kampanii 2020 roku zawodowi politycy Demokraci przestraszyli wyborców, którzy myśleli, że socjalista przegra z Trumpem, więc pozostali kandydaci wycofali się, aby nominacja trafiła do Bidena, polityka nietypowego, ale konwencjonalnego. Biden wygrał nie dlatego, że był osobiście popularny, ale dlatego, że nie był Trumpem. Najlepsza rada socjologiczna, oparta na stopniu sukcesu, jaki odnieśli zarówno Sanders, jak i Trump, jest taka: ludzie nie dają się zwieść zmanipulowanym przedstawieniom autoprezentacji. Wolą polityków, którzy wypowiadają się spontanicznie.

*Bardzo dziękuję za rozmowę.*